



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

## Zabawa Beduinów.

Pędź latawce białonogi,  
Góry z drogi, lasy z drogi!"

Wiele ludów Wschodu jak: Kirgizi, Arabowie, nabywają od lat dziecięcych takiej wprawy w konnej jeździe, że gdy dojdą do wieku męskiego, są prawdziwymi mistrzami w tej sztuce. Żadne inne ludy poszczycić się nie mogą podobną zręcznością i giętkością ruchów jeźdźca, jakie są właśnie charakterystycznym rysem Araba lub dzikiego Beduina. Ale bo też koń dla niego to już nie tylko zwierzę domowe, to nieodstępny towarzysz, to przyjaciel ukochany, wypieszczony, który delikatnem obejściem, nabywa takiej wrażliwości, że rozumie każdą myśl, każde życzenie swego pana. Od małego żyjąc wspólnie z koczującą rodziną Araba, pieszczony przez dzieci i kobiety, staje się szlachetne to zwierzę łagodnym i cierpliwym, nie tracąc nic z cennych przymiotów ognistej swej natury, przeciwnie, żywość, rąchość i wytrzymałość cechują go w każdej okoliczności.

„Czarny mój rumak, jak  
[burzliwa chmura,  
Gwiazda na czole jego  
[jak jutrzienka błyska,  
Na wolę wiatrów puścił  
[strusiej grzywy pióra,  
A nóg białych polotem  
[błyskawice ciska.

Tak woła Beduin, gdy w „Farysie” Mickiewicza przebiega pustynną swą ojczyznę, północnej Afryki, upojony szalem niezrównanie szybkiego ruchu, który się stał poniekąd treścią jego życia. Więc też nie tylko z potrzeby ale

i dla najmilszej sobie rozrywki, dosiada on niekiedy swego rumaka, by wraz z towarzyszami dać obecnym przedstawienie, niezwykle w swym rodzaju, zwane w arabskim języku Bal-el-Barade — a przez Francuzów: Fantazyą.

Zabawa ta jest jakby rycerskim popisem wojennym, czemś w rodzaju średniowiecznych turniejów, w których zarówno koń jak jeździec składają dowód swej nieporównanej zręczności. Biorący w tym udział ustawiają się najpierw w rzędzie na obranej arenie, by wraz z pierwszym okrzykiem rozpocząć szalone ruchy. Ten stoi na siodle ów odwraca się tak, że twarzą zwrócony jest do końskiego ogona, inny znów kładzie się na jego grzbiecie, a wszystko w błyskawicznie szybkich poruszeniach gonitwy, w której nagle zwroty, wzajemne na siebie na-





cieranie, są po mistrzowsku odtworzoną walką. Wojownicy zapał przechodzi ostatecznie w dziki szal, podniecany oklaskami i okrzykami zachwyty rozgorączkowanych widzów, oraz towarzyszącym hukowi wystrzałów broni palnej.

A gdy ujrzymy w wyobraźni naszej obraz ten oświetlony blaskiem południowego słońca, które igra wszystkimi barwami tęczy na fantastycznych strojach Beduinów i barwnem udekorowaniu miejsca zabawy, przyznamy chętnie, że „Fantazyja” przedstawia rzeczywiście jedno z najosobliwszych i najciekawszych widowisk.

## Córki Maryi Leszczyńskiej.

(Kartka z XVIII-ego wieku.)

Król francuski Ludwik XV i małżonka jego Marya Leszczyńska, córka króla Stanisława, mieli siedm córek i dwóch synów, z których starszy, następca tronu, noszący tytuł *Delfina*, sam nie panował, lecz był ojcem nieszczęśliwego Ludwika XVI. Każde z królewskich dzieci otrzymało od dnia urodzenia swój dwór osobny, świętą, straż, własne powozy, co, jak łatwo zrozumieć, kosztowało sumy bajeczne.

Ludwik XV mimo wielu wad był bardzo czułym ojcem, wprost uwielbiał swe córki i dbał o to, aby „Panion” (*Madames*), bo taki nosiły tytuł od dzieciństwa, nie brakło blasku i wystawności, które wówczas były w powszechnej uwadze, zwłaszcza na dworze Wersalskim. Dwie najstarsze bliźniaczki, księżniczka Elżbieta i Henryka, jeszcze nie skończyły lat 10, a już bywały obecne na nabożeństwach dworskich, na koncertach u królowej i przy oryginalnej ceremonii uroczystego wstawania króla (*le grand lever*).

Małym księżniczkom prezentowano damy dworu i książąt zagranicznych, a wojsko oddawało im te same hołdy, co delfinowi. Co środę po obiedzie odbywały się w ich salonach tańce. Wogóle na zabawach im nie zbywało; nieustające bale, zebrania towarzyskie, koncerty, widowiska, ale o nauce nie było mowy wcale. Opiekę nad „dziećmi Francyi” powierzono starej pani de Ventadour, chociaż właściwie spełniała wysoką godność ochmistrzyni jej pomocnica, pani de Tallard, wraz z dwiema podochmistrzyniami. Lecz nie były to wcale nauczycielki, tak iż dwie starsze księżniczki wzrastały, dwóch mając tylko metrów: muzyki i tańca.

Tymczasem skarb państwa wyczerpywał się i dwór musiał czynić oszczędności na wszystkim. Postanowiono także wywieźć pięć młodszych córek: Adelajdę, Wiktorję, Zofię, Ludwikę i Szczęsną do Fonteaurault, słynnego klasztoru, w którym nieraz przebywały córki królewskie, a którego przełożoną w owym czasie była matka Ludwika de Rochecouart-Mortemart. Dwie starsze królowne, pani Elżbieta i pani Henryka miały stosownie do woli króla pozostać w Wersalu. Adelajda, najstarsza z grona młodszych księżniczek, licząca dopiero rok 7-ty, dowiedziawszy się o postanowieniu ojca, zaczęła tak gwałtownie rozpaczć, że obawiano się o jej życie. Wmieszali się w tę sprawę lekarze i biedna matka, Marya Leszczyńska, uzyskała łaskę dla maleńkiej córeczki. Cztery najmłodsze księżniczki jeszcze były za małe, aby odczuć żal rozstania. Bawiła je długa podróż w jednej karocy w towarzystwie dwóch podochmistrzyń, które siedząc na przednich siedzeniach, trzymały na kolanach dwie najmłodsze księżniczki; dwie starsze siedziały w głębi powozu.

Trzynastego dnia zajechano na miejsce; na spotkanie wysłała przełożona w towarzystwie asystentki i aby nie przestraszyć dzieci, ubrały się zupełnie białe. Każda z „pań” otrzymała osobny pokój, siostrę zakonnicę, jako

mentorę i dziewczynkę młodszą w swoim wieku jako nieustanną towarzyszkę.

Ale pomimo troskliwości i pieczołowitości, wszystkie księżniczki początkowo chętnie odmawiały, dopiero na wiosnę cały ten mały świat przyszedł do zdrowia i rozpoczęły się nauki.

(d. c. n.)

## PANICZYK

przez

S. M. Krawską.

(Dalszy ciąg.)

### VI. Korepetycja.

O godzinie piątej przychodził zwykle korepetytor do Bola i Antka, męczył się nad nimi przeszło godzinę, zajmując pokój, w którym się wszyscy uczyli. W sypialni było ciasno i pani Tarkowska nie pozwalała tam siadywać. Michał i Leon wychodzili zwykle z domu, nie chcąc siedzieć ze *sztabakami*; Józio siedział czasem do Wilskiego, lecz gdy i ten miał czas zajęty korepetycjami, chodził na spacer lub grywał na rozstrojonym pianinie.

Ostatecznie codziennie systematycznie przed piątą zaczął wychodzić z domu; zwróciło to uwagę profesorowej.

— Dokąd tak chodzisz? — zapytała go raz przy kolacji.

Józio zaczerwienił się według swego zwyczaju i rzekł:

— Na korepetycję, proszę pani profesorowej.

— To czemuż do ciebie korepetytor nie przychodzi? — spytała, domyślając się, że to Wileśki mu udziela pomocy.

— Aha, wylazło sztydło z worka! — zawołał Antek — bierze korepetycję w sekrecie!

Leon i Michał uśmiechnęli się porozumiewająco.

— A czemu nie bierzesz z nami? — spytał swym ociężałym głosem Bolo.

— Kiedy ja nie biorę korepetycji! — bronił się trzecioklasista.

— Dajesz? — spytał Leon.

Józio kiwnął głową.

— Chciwiec! — szepnął Michał, odsuwając szklanę.

— Mój kochany, to wcale niepotrzebnie, rodzice twoi są zamożni, odbierasz tylko chleb tym, co się z korepetycją utrzymują! — rzekła z pewnem oburzeniem pani Tarkowska.

— Ja nikomu chleba nie odbieram!

— Przecież ktoś inny mógłby tę korepetycję otrzymać! — rzekł Michał, wstając od stołu.

— Tej nie oddam, ale jest w tym samym domu taka sama do wzięcia — odrzekł Józio.

Cały wieczór koledzy boczyli się na niego, lecz nie zważał na to; odrabiał lekcje, które mu jakoś nie szły. Nie egzer cytował się nawet, jak to prawie codziennie czynił po odrobieniu lekcji.

— Uważasz, nie będzie dziś koncertu; korepetycja go zjadła! — owzał się Leon.

— Chciwość nawet sztukę zabije! — rzekł z emfazą Michał, szukając coś pod nosem, jak gdyby się chciał przekonać, czy jaki projekt na wasy się nie ukazuje.

— Co wam szkodzi moja korepetycja! nie pytam się i nie kontroluję co robicie! — rzekł Józio, wstając zmęczony od lekcji.

— Bo żaden z nas nie odbiera chleba nikomu, to zbrodnia społeczna! — rzekł Michał, który połapał jakieś wyrazy, których nie umiał przystosować.

W Józiu krew zawisła.



— Więksi zbrodniarze są ci, którzy zostawiają biednych uczniów bez pomocy, trawiąc czas wolny nie wiedzieć nad czym! — zawołał, zamykając z pośpiechem tornister.

Michał zmarszczył brwi i spojrzał gniewnie na trzecioklasistę.

— Panowie, dajcie spokój, po co te sprzeczki! — ozwał się Leon. — Uważasz, Michał, trzeba tę sprawę rozpatrzyć!

— Rozpatruj sobie, ja gardzę chciwcami! — wybuchnął Michał.

— Gardzę nie tylko chciwcami lecz i frazesowiczami! — zawołał Józio, podnosząc głowę.

— Jak śmiesz... — krzyknął Michał, stając naprzeciw niego.

Lecz Leon stanął między poważnionymi, a zatrzymując kolegę, rzekł:

— Powstrzymaj się, uważasz, powiedziałem ci, trzeba rozpatrzyć tę sprawę.

I nie dając mu przyjść do słowa, zwrócił się do Józia:

— Co to za korepetycja, ta druga, o której mówiłeś?

— U biednego urzędnika, ma sparaliżowaną żonę i dwóch chłopaków, których nie ma kto do szkół przygotować! — rzekł Józio i wybiegł z pokoju.

Dwaj młodzieńcy spojrzeli po sobie, Michał siadł i zaczął coś pilnie kreślić. Leon spoglądał nań z pod oka.

— Józio poszedł i nie wiem, jak sobie z tem francuskim poradzić — mówił Bolo, patrząc jak zwykle bezmyślnie.

— Aha, zbrakło ci *paniczka*! — rozśmiał się Antek, pisząc coś wbrew swemu zwyczajowi.

— Pokaż! — zawołał Michał.

Bolo otworzył szeroko oczy i na jego bladą twarz wystąpiło wielkie zdziwienie.

— Pokaż, o co ci chodzi! — powtórzył Michał.

Chłopiec zdziwiony jego niezwykłą dotąd uprzejmością, zbliżył się nieśmiało.

— A któż ci w tem tłumaczeniu pomagał? — spytał, patrząc na kajet.

— Józio, on mi zawsze pomaga, dostałem trójkę! — chwalił się Bolo.

Michał poprawił się na krześle i tłumaczył niezdolnemu i anemicznemu chłopcu. Józio tymczasem rozdrażniony zajęciem o wypracowanie i przemówieniem się z kolegami, chodził po sypialni przeciskając się między łózkami.

— Czego oni chcą, te draby — pomyślał sobie. — Chciwiec, chciwiec! patrzcie ich! — powtarzał. — Napiszę dziś do mamy, opowiem jej wszystko... albo nie, do Hani, mama by się zmartwiła.

Otworzył szafkę, wyjął przy świetle wpadającym z ulicznej latarni papier listowy, kopertę i rozejrzał się po pokoju.

— Tam, do nich pisać nie pójdę... może zobaczę...

I przysunął się do okna. Położył na parapecie papier i usiłował pisać.

Lecz światła było za mało.

— Wszystko mi dziś nie idzie! — rzekł, zbierając na powrót cały przyrząd do pisania.

Spojrzał w okno.

Ulica była wązka, łatwo więc było widzieć co się działo w oknie przeciwnielego domu.

Przy okrągłym stole siedziała jakaś pani pochylona nad robotą, dalej dwóch chłopców w gimnazjalnych mundurach zajętych nauką i dziewczynka, pisząca coś bardzo pilnie. Po chwili pani wstała, położyła rękę na głowie starszego chłopca, zaczęła coś mówić, dwoje innych przytuliło się do matki, która ich wszystkich obdźbiała pieszczotą.

— Jacy oni szczęśliwi; są z rodzicami, nie potrzebują stać na stancyi, znosić przycinków kolegów... jadać bułki ze starem masłem... brrr!

Wtem spostrzegł, że tak pani, jak dziewczynka miały czarne suknie, a chłopcy białe obszewki u mundurów.

Nagle przypomniał sobie, że wkrótce po przybyciu na stancję widział, jak z tegoż samego domu wynoszono trumnę, a za nią postępowali ciż sami gimnaziści i ta sama pani z dziewczynką.

Westchnął.

— Och, nie, nie, jam stokroć szczęśliwszy, mam oboje rodziców, zobaczę ich wkrótce!

Wpatrywał się jednak w oświetlone okno i nabierał sympatii dla sąsiadów z przeciwka.

Aż w sypialni zapalono światło, zrobiło się gwarno, pensjonarze szli na spoczynek.

Józio, nic nie mówiąc, począł się rozbierać.

Po chwili Leon zbliżył się do niego i rzekł po cichu:

— Pójdę z tobą jutro na korepetycję do tego urzędnika. I zaraz dodał: — Nie gniewaj się, bracie, uważasz, dzielny z ciebie chłopiec.

Józio uściśnął dłoń kolegi i z łżejszem sercem spać się położył.

— Dobrze, że nie napisałem do Hani — myślał sobie, zasypiając — rodzice byliby się dowiedzieli wszystkiego, a tak jakoś się to naprawi.

Na drugi dzień, gdy Józio wstał raniej od innych i wyszedł do drugiego pokoju, ażeby dokończyć nie odrobionych lekcji, zbliżył się do niego Michał.

— Gdzie to jest ta korepetycja do wzięcia — dodał z naciskiem — o której mówiłeś?

— Już wzięta! — odrzekł Józio, nie odrywając się od nauki.

— Jakto w nocy?

Józio nic nie odpowiedział.

Michał przeszedł się po pokoju, siadł naprzeciw Józia, otworzył swoją szufladę, szukał w niej coś, potem wstał i zbliżając się, zapytał:

— Czemuż mi nie odpowiadasz?

— Odpowiedziałem.

— Dla ciebie dwie za dużo — odstąp mi u tego urzędnika...

— Wziął ją już ktoś inny.

— No widzisz, między kolegami rozmaicie bywa, ja ciebie obraziłem, ty mnie, widzisz, bo... ja nie wiedziałem — jękał Michał.

I jakoś znów doszło do zgody.

A dni mknęły niepostrzeżenie. Święta Bożego Narodzenia się zbliżały, w każdym sercu drgała radość na samo wspomnienie wyjazdu do domu.

Już tylko dwa tygodnie.

Tylko — tydzień — trzy dni — tylko czterdzieści ośm godzin, liczono.

Niemniej skrupulatnie liczył i Józio.

Nadeszła wreszcie upragniona chwila, rozdano cenzury. Józio skwapliwie rozłożył papier. Wśród całego szeregu piątek widniała jedna, jedyna trójka. Zabolało go to bardzo.

— Ach, ten obmierzły Arbuz! — rzucił przez zęby! — A takem się starał!

W wagonie myślał jeszcze o trójce, lecz gdy przesiadł się z wagonu do sanek, a Szymon otulał go troskliwie w przywiezione ojcowskie futro, zapomniał o wszystkim, był tak oszołomiony radością, iż po kilka na raz pytań zadawał. Szymon nie nadążył mu odpowiadać.

Sanki sunęły po doskonale ujeżdżonej drodze, mijały domy, drzewa przydrożne. Pola zasłane śniegami połyskiwały lśniąca białością, gdzieś tam wystawał tylko krzak osadzający, zdala wieś drzemiąca wśród ciszy zimowej. Nad tem wszystkim niebo szare, bezbarwne, skłaniające się tak nisko, iż zdawało się, że już, już skłon swój ociężyła oprze o ośnieżoną ziemię.

Aż wysunął się księżyc jasny, pełen blasku, i rzucił światło na całe obszary, zmuszając szary, krótki dzień grudniowy do oddania mu swego berła.

(d. c. n.)



Zofia Urbanowska.

## ROŻA BEZ KOLCÓW.

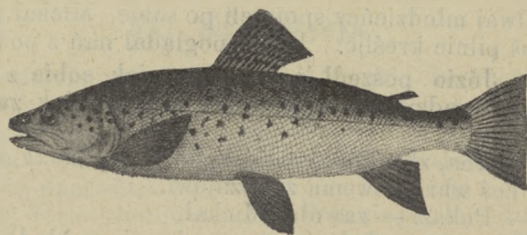
Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej

(Dalszy ciąg)

Wzięła go na egzamin, wyciągnęła z niego słowo po słowie, historię całej wycieczki i ogarnął ją silny niepokój; dojrzała poważne niebezpieczeństwo. Gdy słuchała, często rumieniec gniewu i oburzenia występował jej na twarz; często wargi gryzła niemal do krwi, a z ust wyrwało się nawet ciche francuskie przekleństwo. Cały jej temperament hamowany zwykle wysiłkiem woli, ujawnił się przytem. Chodziła po izbie krokiem gorączkowym, z załamanemi rękami, przemyśliwając co robić, jak niebezpieczeństwu zaradzić.



Lipień.



Pstrąg.

Tysiączne projekta przychodziły jej do głowy, ale co jeden to wydawał się trudniejszym do wykonania, co jeden to więcej szalonym. Sir Edward ma prawo darzyć łaskami, kogo mu się podoba; jest nieograniczonym panem swej woli, i może też obdarzyć majątkiem obcego chłopca, skoro jest bez rodziny, jak się zdaje. Ale w tem cała rzecz, czy istotnie jest bez rodziny? Po co on tu wreszcie przyjechał? czego szuka? Kto jest ten chłopiec którego tak pokochał? Może właśnie ten chłopiec...

Nagle uderzyła się w czoło: gdzież miała rozum? Należało zbadać stosunki tego chłopca. Co to za rodzina, z kąd? Po co tu przybyli i jak długo zabawią?

I jak wszystkie osoby nerwowe, u których wyobraźnia

powiększa wszystko do olbrzymich rozmiarów, tak ona uprzytomniwszy sobie w tej chwili twarz Henryka, szukała w niej podobieństwa do rysów sir Edwarda, i wydało jej się że znalazła. A ponieważ gwałtowne temperamenty potrzebują się zawsze wypowiedzieć, i znajdują w tem ulgę, więc gdy Fanny weszła, lady Chester wyrzuciła z serca cały swój gniew na przybłądę wkradającego się w łaski możnego cudzoziemca i cały swój żal do sir Edwarda, że może mieć skłonność do kogo innego prócz jej syna. Miała jednak tyle przezorności, że nie wypowiadała się przed nią ze swych domysłów, choć nie tała obaw co do materyalnych skutków tej skłonności.

Młoda dziewczyna, częsty świadek nerwowych wybuchów milady, wysłuchawszy, odrzekła spokojnie, iż zdaniem jej milady przesadza niebezpieczeństwo. W podróżach często zawierają się znajomości i powstają sympaty nie mające głębszego na przyszłość znaczenia; przypadkowi przyjaciiele rzadko się potem spotykają w życiu. Sir Edward wreszcie jest tak bogatym, że niejednego może hojnie obdarzyć i jeszcze mu dużo zostanie. Trzeba też liczyć na jego szlachetność.

Szlachetność... prawda! o tem nie pomyślała lady Alicya, a znała go przecież, wiedziała że był szlachetny i wspaniałomyślny!

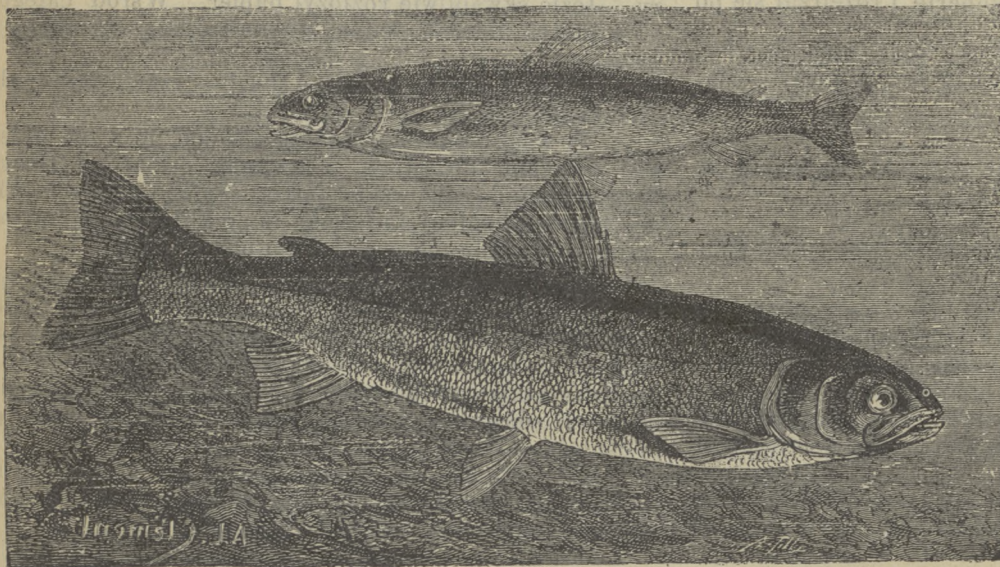
I przenosząc się od rozpacz do nadziei, równie prędko jak się w niej była pogłężyła, zaczęła snuć różowe marzenia na przyszłość. Nie chciała jednakże już widzieć tego wieczora baroneta, znała bowiem bystry wzrok jego i obawiała się, aby nie wyczytał z jej oczów tego co się działo w duszy; kazała mu więc oznajmić że się czuje niedźwów i musi się położyć.

Skromny tapczan w schronisku okryty wykwinną bielizną z irlandzkiego płótna, zamienił się w eleganckie choć twarde cokolwiek posłanie.

Mała srebrna westalka, bez której milady nie ruszała się nigdzie, wydzielala subtelne wonie; zapachu owczej skóry nie było już w izbie ani śladu. Znalazł się i romans francuski, którym leżąc już usiłowała uspokoić wzburzony umysł.

Fanny rozebrawszy milady, przygotowawszy wszystko co jej było potrzeba, postawiła przy łóżku mały srebrny dzwoneczek i wyszła na ganek dla odetchnienia świeżem powietrzem. W sieni spotkała profesora, którego wyraz twarzy uderzył ją. Malowała się na niej desperacja i zniechęcenie.

Na sztywny jego ukłon, dziewczyna miłym odpowiedziała uśmiechem, lubiła bowiem szczerze doktora Stranda, i czuła dla niego wdzięczność za rozbudzenie w niej



Łososie.





### Ciekawska.

Gdyby ta, co tu podgląda ciekawie,  
Ujrzała siebie w tak brzydkiej postawie,  
Rumieńcem wstydu spłonęłaby cała,  
Nikom w oczy spojrzeńby nie śmiała.

Szpetniejszych czynów nie wiele zostanie,  
Niż podglądanie i podsłuchiwanie.  
Jedynie zmniejsza winę tej ciekawej —  
Ten jej wiek młody, nadzieja poprawy.



zamiłowania do nauk przyrodniczych, datującego od czasu, gdy jako dziecko jeszcze, towarzyszyła mu w jego wycieczkach nad jezioro. Spytała więc troskliwie co mu jest, czy nie chore?

Ale profesor w mniemaniu że wszyscy już wiedzą o jego przygodzie, wziął to pytanie za chęć naigrzania się z cudzej boleści i odrzekł ze złością, że „kobietom nic do tego co mu jest; że żadna nie ma prawa wtrącać się w jego sprawy osobiste. Ze wreszcie szyderstwo z człowieka poważnego, nie przystoi osobie dobrze wychowanej, i nie spodziewał się tego po miss Fanny, która niegdyś wcale znośną była dziewczynką.” W końcu dodał, zapalając się coraz więcej: „że mogłaby się wstydzić takiego postępu, choć co prawda, nie powinien się temu dziwić, bo po kobiecie wszystkiego spodziewać się można.”

To powiedziawszy zniknął trzasnąwszy drzwiami.

Fanny osłupiała ze zdziwienia. Nie tyle zdumiała ją niesprawiedliwie posłyszane obelgi, ile wybuch gniewu człowieka, który zdawał się nie mieć kropli żółci w sobie — człowieka zawsze cichego i nieśmiałego w Rochdale, ożywającego się jedynie wtedy, gdy była mowa o faunie głębinowej. Czy jego zawsze przygasłe, błyskały iskrami gniewu, twarz pałała. Co mu się dziś stało? Co było przyczyną tej przemiany?

A profesora Stranda, zaledwie znalazł się za drzwiami, któremi tak odważnie trzasnął, opanowało straszne przygnębienie i wstyd. Czuł że postąpił jak żak, że ubliżył kobiecie, że stracił panowanie nad sobą — i to go strasznie upokorzyło. Należał do tych natur spokojnych i flegmatycznych, które rzadko unoszą się gniewem, ale gdy im się to nareszcie zdarzy, bywają wtedy straszne. Taka chwila przyszła na niego. Ale bo też co za przewrotność! Wiedzieć o katastrofie i pytać się z uśmiechem kłamanego współczucia, co mu jest! O, te kobiety, te kobiety! co za wcielenie fałszu i obłudy!

Fanny nie dała za wygraną. Jęła się dopytywać Dawida i dowiedziała się o przyczynie złego humoru profesora, a dowiedziawszy się, przebaczyła mu z całego serca jego porywczosć — choć pozornie, aby go ukarać, udawała jeszcze obrażoną; bawiły ją zwłaszcza jego nieśmiałe spojrzenia, w których wyczytać było można wyrzut sumienia. Ułożyła ona sobie szlachetną zemstę. Rozpytawszy się dokładnie w jakim mniej więcej kierunku upadł słoik, postanowiła nazajutrz czynić poszukiwania na własną rękę. A nużby jej się udało znaleźć Brachiopoda całego i żywego... co za tryumf! Co za upokorzenie dla biednego uczonego, że zostałby pokonany przez niewiastę!

Oprócz Davego, na ten raz przekładającego sen nad kolację, wszyscy uczestnicy wyprawy zasiedli w drugiej izbie do stołu, gdzie kucharz Jack, podał na kolację lipienie duszone z włoszczyzną, obłożone kartofelkami, i pstrągi na sposób tatrzański w cieście smażone, które wybornie smakowały zgłodniałym wycieczkowiczom. Potem wniósł na duży półmisku wspaniałego łososa, złowionego w Rybiem przy Morskim Oku z sosem tatarskim. Warburton okazał zdziwienie na widok tej wykwintnej potrawy.

— Co widzisz? — zawołał — morska ryba tutaj! Zbyt wielka odległość tego zakątka górskiego od morza i brak kolei żelaznej, nie pozwala przypuszczać aby została z kąd inąd sprowadzona, zwłaszcza w czasie gorącego lata. Słyszałem że istnieje jakaś legenda o łączności podziemnej tego jeziora z morzem. Czyżby to było prawdą?

— Legenda rzeczywiście istnieje — odrzekł Witold — i znajdowała wiarę nawet u inteligencji. Mówiono że jakiś kupiec znalazł tutaj szkatułkę zgubioną podczas morskiej podróży, a Stanisławowi Augustowi przyniesiono nawet odłamki z belek znalezionych na powierzchni Morskiego oka, mających być szczątkami rozbitego gdzieś na morzu okrętu. Okruchy te wystawione były w zamku królewskim w Warszawie na widok publiczny, a rząd austriacki wydelegował nawet komisję naukową do badania Karpat, która

przedsiewzięła sprawdzić wiadomości o komunikacji morza z jeziorami tatrzańskimi.

— Morskimi oczami zwano wszystkie stawy tatrzańskie — wtrącił doktor — było ich aż sto dwadzieścia

Doktor Strand, którego to zaczęło interesować, odezwał się:

— Gdyby jezioro łączyło się z morzem, musiałyby ulegać przypływowi i odpływowi.

— Tak też twierdził jeden z członków komisji, nawet zatknął znak na brzegu Ciemnosmreczyńskiego jeziora; ale nazajutrz nie znalazł żadnej zmiany. Woda ani się podniosła, ani opadła. Osądził więc że legenda nie jest oparta na rzeczywistości.

— Byli jednak tacy, co twierdzili że te odpływy i przypływy widzieli. Górale mianowicie utrzymują, że wody Morskiego oka w pewnych porach podnoszą się do góry, a w pewnych na dół opadają. Staszyc tłumaczył to podniesienie skutkiem nawalnych deszczów i roztopień śniegów. Wówczas wody Morskiego oka wznoszą się nagle, dopóki nie przebiorą grzbietu pozostałego z rozwalonej ściany, a w całej szerokości kilkuset stóp, przewalając się tamtędy, wyglądają jak ogromna rzeka, na kilka stóp wysoko i szeroko lecąca w Rybie jezioro.

— Zdaje mi się że mogę państwu dowieść prawdziwej łączności z morzem wszystkich morskich oczu tych gór — odezwał się Strand — i wyjaśnić rodowód tej legendy. Siega ona czasów bardzo odległych, czasów owych, o których panowie Raciborski i Limanowski, tak piękną ułożyli opowieść; prawdopodobnie okresu lodowego, gdy wszystkie niziny i doliny zalane były morzem. Przechowuje się podobno dotąd na Podhalu tradycja, że woda spłynęła tu dopiero przez przebicie skał w Pieninach. W ten sposób zbiorniki wód w tych górach, mogły się łatwo wydać ludziorz zamieszkującym wówczas jaskinie, częstokroć morza łączącego się pod ziemią z jeziorami, zwłaszcza że nie znali prawa fizycznego o równowadze płynu w naczyniach łączących się sobą mających. Ztąd też pewnie powstała nazwa Morskiego oka.

— Tradycja o morzu spotyka się i u ludów w innych górach zamieszkujących — wtrącił Warburton.

— Że łączność ta nie istnieje, dowiódł tego niedawno znakomity przyrodnik polski, Eugeniusz Dziewulski, który pomierzył większe jeziora tatrzańskie. Mierzył on głębokość Rybiego jeziora z całą dokładnością i badał dno jego za pomocą przyrządu wynalezionej przez profesora Dybowskiego, przy mierzeniu Bajkału. Wasza Dostojność pewnie o nim nie słyszał?

— Wiem, wiem, Dybowski, znakomity przyrodnik i podróżnik. Rozpisywał się o nim w swoim czasie *Times*.

— Otóż przyrząd ten puszcza się z ciężarkiem na dno, a jest zaopatrzony w metalową szczękę z kolcami, dla chwytania tego co się na dnie znajduje. Dziewulski więc używając tego przyrządu, nie tylko zbadał głębokość jezior, ale pozbiierał muł znajdujący się na dnie, a z mułem i różne żyjątka, które znowu zdeterminował profesor Słóarski.

(d. c. n.)

## Z dziennika Janka Ż.

(Dalszy ciąg).

Złe więc wieści przychodziły do naszego obozu. Nie opuszczałem go jednak mimo tęsknoty za ojcem, nie opuszczałem zaś dla dwóch przyczyn. Jedną była trudność wydostania się z pułapki, w którą wpadłem mimo woli. Naciskani ze wszystkich stron przez Anglików mogliśmy, tylko cofać się na coraz wyższe szczyty, a nie brak w południowej Afryce naturalnych warowni. O przebicie się jednak przez



opasujące nas wojsko brytańskie nie mogło być mowy. Ja wprawdzie miałem rozkaz marszałka Roberta i zaszyłem go starannie pod podszewką bluzy, ale czy w bitwie słuchanoby mego tłumaczenia?

Własne więc bezpieczeństwo zatrzymało mnie w obozie Burów, a była jeszcze i inna przyczyna, dla której nie próbowałem dotąd opuścić de Wett. Stryj, brat mego ojca, powiedział raz słowa, nie zupełnie wtedy dla mnie zrozumiałe. Zapamiętałem je jednak może dlatego, że stryj, którego bardzo kochałem, umarł wkrótce po tej rozmowie.

— Godzina niebezpieczeństwa, Tadeuszu, jest dla człowieka honoru godziną obowiązku — mówił do tatki. Zdawało mi się, że taka właśnie godzina wybiła dla mnie w obozie de Wett. Tęskniłem do ojca, wiedziałem, że czeka mego powrotu, ale nie mogłem opuścić garstki Burów, opuścić Roberta Burnsa i Dermonta, w chwili wielkiego niebezpieczeństwa. Czy mi się dziwić będziecie, koledzy?

#### *Dalszy ciąg dziennika.*

Walka trwała już cztery dni. Sławny pułk górali Szkockich, tak zwani *Gordon-Highlanders*, szedł na nasze skały ze zrećznością kotów i muszę im to przyznać z nieustraszoną odwagą. Za góralami postępowali dragoni. Cofaliśmy się krok za krokiem, broniąc każdej piędy ziemi, każdego przesmyka. Anglicy przywieźli na mułach lekkie rozbiegane łodzie i choć dziesiątkowani przez nasze strzały, przeprawili się jednak przez jezioro. Zdobywali teraz drogę, wiodącą do jaskini. W jaskini de Wett ukrył swoje papiery, skrzynię z amunicją i... nie będę tał dłużej przed wami, koledzy, duże zapasy złota transwaalskiego. Część tego złota... ale mniejsza z tem. Dziś nie jestem w stanie pisać o czem innym tylko o walce, którą toczyli Burowie.

Zdaje mi się, że teraz jeszcze czuję zapach krwi. Żołnierze zasłaniaли wodza własnem ciałem. De Wett wyglądał na pozór zupełnie spokojnie. Wydając rozkazy, gryzł kawałek suchara, bo przez dwie doby nie jedliśmy gotowanej strawy. Nas była garstka, Anglików tysiące. Garstka malała z każdą chwilą, zwycięscy wstępowali po drodze usłanej trupami.

Oni byli dobrze odżywiani i wypoczęci, nam głód pożerał wnętrzności. Walczyliśmy bez wytchnienia. Śmiertelnie znużeni, z oczami krwią nabiegłymi nie byliśmy już w stanie rozróżnić nieprzyjaciela. Opisując wypadki tych strasznych dni, mam przed oczami krwawy тумan i nie mogę zdać sobie sprawy z szczegółów. Strzelałem, ustępując przed nacierającymi Anglikami. Nie pamiętam, jak długo trwała bitwa. Widziałem, że koło mnie padają ludzie i jeczę ranni. Widziałem, jak zachwiał się żołnierz, niosący chorągiew. Potem przyszła najstraszniejsza chwila. Robert, biedny mój Robert!...

Nie było go wśród nas, bo razem z de Wettem i Wilhelminą walczył po drugiej stronie skały, zasłaniając ucieczkę kilku najwierniejszych. Ci uprowadzili żonę generała i jego, a raczej transwaalskie skarby. Opróżniono jaskinię, należało teraz ułatwić de Wettowi odwrót. Zasłaniał mi go, ścieśniając szereg w miarę ubywania żołnierzy. Chciał jeszcze ocalić sztab, po który sięgali już Anglicy. Oderwał chorągiew od drzewa, ale szabla dragona zawisła w tej samej chwili nad głową generała. Byłem blisko, Bóg dopomógł, koledzy, i dodał siły. Odparłem cięcie, a Robert skoczył na odłam skały i zasłonił wodza własnymi piersiami. Nie żałował życia... jego Wilhelmina leżała już obok, ugodzona kulą w głowę...

Burns stał bezbronny na skale: Wystrzelił już wszystkie ładunki i miał rękę przeciętą pałaszem. Widzę go ociekającego krwią. Nie zapomnę nigdy twarzy mego przyjaciela. Była to twarz męczennika i bohatera zarazem. Niezapomnę chwili, kiedy w pierś jego mierzyli Anglicy. Zachwiał się... odwrócił głowę w stronę gdzie uciekał de Wett i spadł ze skały, zlany strumieniami krwi, która broczyła z jego piersi...

Biegłem, nie wiedząc gdzie się znajduję. Dokoła mnie panowała zupełna ciemność. Przez chwilę słyszałem jesz-

cze odgłosy strzałów, potem ucichło wszystko. Ktoś trzymał moją rękę i ciągnął, chociaż ustawałem ze znużenia. Czułem w prawej nodze jakieś dziwne ciepło. Nie pamiętam, jak długo biegłem podziemną jaskinią. Dojrzałem światło wdzierające się szczeliną i wkrótce stanęliśmy, po przeciwnej stronie skał, opasujących jezioro. Teraz dopiero spostrzegłem, że Dermontowi winien jestem ocalenie. On to ciągnął mnie za rękę. Byłem zbiczony krwią, która spływała po moim bucie.

— Jestem więc ranny — pomyślałem, ale nie miałem czasu zastanawiać się nad tem, dość zwykłem w czasie wojny, zdarzeniem.

U wyjścia z jaskini stały osiodłane konie, widocznie czekano tu na generała. Wszystko więc było obmyślane dla zabezpieczenia odwrotu. Ach, czemuż brakowało wśród nas Roberta!

Z pomocą Dermonta wdrapałem się na siodło. Nie pamiętam ani drogi, którą jechaliśmy, ani jak długo trwała ucieczka. Drzemałem, osłabiony wpływem krwi i kilkodniową walką. Cud to prawdziwy, że utrzymałem się na koniu. Cud i opieka pocziwego Dermonta. Kochał on Roberta, widziałem jak płakał po nim. Dla pamięci Burnsa troskał się o mnie.

Była noc, kiedy dojechaliśmy do fermy osłoniętej skałami. Zaden kraj nie ma chyba takich kryjówek jak te, które widywałem w Transwaalu. Tylko sępy lub orły wytopićby potrafiły kotlinę, otoczoną olbrzymimi górami. De Wett znał właściciela fermy, mógł więc tu bezpiecznie odpocząć. Był to cudny, ciepły, bo odsłonięty od południa zakątek. Miałem później czas podziwiać bogactwo przyrody Transwaalskiej; pierwsze trzy dni jednak przespałem, nie zdając sobie sprawy ani gdzie jestem, ani też czy grozi mi jakie niebezpieczeństwo.

W czasie wojny, koledzy, a zwłaszcza w czasie partyzanckiej wojny, człowiek robi się obojętnym na wszystko. Zakłują cię Anglicy? dobrze. Nie zakłują? drugie dobrze. Jak tam chcecie, byleście mi się dali wyspać, spałem też. Dermont opatrzył moją ranę; nie była niebezpieczna tylko głęboka. Od czasu do czasu siadałem na posłaniu i piłem mleko z dzbanka, który pocziwy Francuz stawiał obok mego łóżka. Zupełna świadomość położenia wróciła mi dopiero po trzech dniach. Mogłem już zdać sobie sprawę z zaszłych wypadków, mogłem zacząć myśleć o przyszłości, o powrocie do ojca. Teraz także zrozumiałem dopiero naprawdę, że straciłem, straciłem na zawsze mego drogiego przyjaciela!..

(d. c. n.)

## ZADANIE DO NAGRODY.

Kalendarz świąt ruchomych w wieku XX-tym.

Wiadomo, że Wielkanoc może przypaść najwcześniej dnia 22 marca, najpóźniej zaś 25 kwietnia, ponieważ według orzeczenia Soboru Nicejskiego, uroczyste to święto obchodzić należy w niedzielę następującą po pierwszej pełni wiosennej księżyca. Uczeń już na długi szereg lat naprzód obliczyli daty, w których ma wypadać święto Zmartwychwstania Pańskiego. Sądzę, że czytelnicy nasi z ciekawością odczytają wykaz dat, w których Wielkanoc wypadać będzie w ciągu bieżącego stulecia. Podajemy go według artykułu profesora Wł. Kwietniewskiego, zamieszczonego w Kuryerze Warszawskim.

W roku 1901-ym, pierwszym XX-go stulecia obchodziliśmy Wielkanoc dnia 7-go kwietnia. Ostatni raz w tym samym terminie Wielkanoc była w r. 1844. W tymże dniu 7-go kwietnia przypadnie jeszcze w latach: 1912, 1985 i 1996 r.

Dnia 22-go marca, to jest w najwcześniejszym terminie, Wielkanoc w ciągu XX-go stulecia nie wypadnie ani razu, również i w dwóch następnych wiekach, dopiero rok 2285 będzie miał tak wczesną Wielkanoc. Od wprowadze-



nia poprawionego kalendarza t. j. od roku 1582 Wielkanoc w tej najwcześniejszej dacie była w latach 1598, 1693, 1761 i 1818-ym.

W innych terminach w rozpoczynającym się obecnie wieku Wielkanoc przypadnie:

Dnia 23-go marca w roku 1913;  
" 24-go " " 1940. Ta data Wielkiejno-  
cy jest bardzo rzadka od r. 1582, epoki wprowadzenia re-  
formy kalendarza, do chwili obecnej Wielkanoc 24-go mar-  
ca obchodzoną była dopiero raz jeden w r. 1799; do roku  
zaś 2500 przypadnie tylko trzy razy w latach 1940, 2391  
i 2475.

Dnia 25-go marca w roku 1951;

26-go	"	w latach 1967, 1978 i 1989;
27-go	"	" 1910, 1921 i 1932;
28-go	"	" 1937 i 1948;
29-go	"	" 1959, 1964 i 1970;
30-go	"	" 1902, 1975, 1986 i 1997;
31-go	"	" 1907, 1918, 1929 i 1991;
1-go	kwietnia	w latach 1923, 1934, 1945 i 1956;
2-go	"	" 1961 i 1972;
3-go	"	" 1904, 1983, 1988 i 1994;
4-go	"	" 1915, 1920, 1926 i 1999;
5-go	"	" 1931, 1942 i 2953;
6-go	"	" 1947, 1958, 1969 i 1980;
8-go	"	" 1917 i 1928;
9-go	"	" 1939, 1944 i 1950,
10-go	"	" 1955, 1966 i 1977;
11-go	"	" 1909, 1971, 1982 i 1993;
12-go	"	" 1903, 1914, 1925, 1936 i 1998;
13-go	"	" 1941 i 1952;
14-go	"	" 1963, 1968 i 1974;
15-go	"	" 1906, 1979 i 1990;
16-go	"	" 1911, 1922, 1933 i 1995;
17-go	"	" 1927, 1938, 1949 i 1960;
18-go	"	" 1954, 1965 i 1976;
19-go	"	" 1908, 1981, 1987 i 1992;
20-go	"	" 1919, 1924 i 1930;
21-go	"	" 1935, 1946 i 1957;
22-go	"	" 1962, 1973 i 1984;
23-go	"	" 1905, 1916 i 2000;
24-go	"	ani razu
25-go	"	w roku 1943.

Podług powyższego wykazu osobliwsze daty świąt Wielkanocnych dla wieku 20-go będą następujące:

1) Dnia 23-go marca w roku 1913. W tej dacie Wielkanoc ostatni raz przypadła w r. 1856; następna zaś będzie dopiero w r. 2008.

2) D. 24 marca, w r. 1940 o niej wspomnieliśmy już wyżej.

3) Trzy razy w dniu 23-im kwietnia, mianowicie w latach 1905, 1916 i 2000. Od czasu reformy kalendarza w tej dacie Wielkanoc przypadła tylko w latach 1628 i 1848; w następnym zaś wieku będzie tylko raz jeden w roku 2079.

4) Raz przypadająca Wielkanoc w dniu 25-ym kwietnia roku 1943-go. Dotąd w nowym kalendarzu Wielkanoc w tej dacie przytrafiła się w latach 1666, 1734, i 1886; w następnym wieku przypadnie tylko w roku 2038.

5) Nakoniec najczęściej, bo 5 razy przypadnie Wielkanoc dnia 12-go kwietnia.

A teraz proponujemy tym z naszych czytelników, którzy lubią rachunki, ułożenie sobie kalendarza świąt ruchomych na cały wiek XX-ty, to jest oznaczenia w jakich datach każdego roku przypadną: Popielec, Wielkanoc, Wniebowstąpienie, Zielone Świątki i Boże Ciało.

Jest to rzecz wcale nie trudna, gdy się posiada wykaz świąt Wielkanocnych, powyżej zamieszczony. Trzeba tylko wiedzieć, że Popielec przypada w 46-ty dzień przed Wielkanocą, Wniebowstąpienie zaś, Zielone Świątki i Boże Ciało w 40-ty, 50-ty i 60-ty dzień po Wielkiejnocy. Przy obliczaniu daty Popielca należy pamiętać o latach przestępnych, przypadających wówczas, gdy 2 ostatnie liczby, cyfry danego roku dzielą się przez 4, a więc rok 1904, 1908, 1912 i. t. d.

Ci z prenumeratorów „Wieczorów Rodzinnych,” którzy do dnia 20 maja r. b. nadesłali nam porządnie i bez błędu wypisany na białym brystolu do zawieszenia na ścianie Kalendarz świąt ruchomych na cały wiek XX-ty, otrzymają w nagrodę: pow. hist. J. I. Kraszewskiego p. t. Kunigas, w opracowaniu dla młodzieży.

## SZARADA.

Od Zwinnego Jelonka dla Rysia.

*Pierwsza*, to w Anglii dygnitarz nielada,  
*Druga* wspak, rzeka, co do Wisły wpada.  
*Wszystko*, to góra w klasycznej krainie  
Co w piśmiennictwie z dawien dawna słynie  
Jako siedziba Apollina dziatwy,  
Choć przystęp do niej nie każdemu łatwy.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 14.

### Zadania na przysłowie:

Kamienie um aleś łamać, balony zabawiać, ukłony posyłać, tureckie kury pilować, ładować proso grzebieciem, przeprosić Zosię.

Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię.

### Logogryfu:

1) Alland. 2) Leonardo. 3) Elizeusz. 4) Karoliny. 5) Saratow. 6) Abo. 7) Nosorożec. 8) Delphi. 9) Egipcyanie. 10) Radziejowski. 11) Fez. 12) Racice. 13) Erzerum. 14) Demostenes. 15) Rdest. 16) Oliwa.

Aleksander Fredro — Dożywocie i Zemsta.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Zabawa Beduinów (z ryc.) — Córci Maryi Leszczyńskiej (kartka z XVIII-go wieku). — Paniczek, przez Z. Morawską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Ciekawska (z ryc.) — Z dzienniczka Janka Ż. — Zadanie do nagrody, kalendarz świąt ruchomych w wieku XX-ym. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Abecadło w obrazkach. Sen (z ryc.) — Do roboty, wiersz przez Irenę Mrozowicką. — Pogadanki z życia codziennego. Węgiel kamienny. — Piotruś i Basia — Łamigłówka i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku, Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 4 Апрель 1901 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





EN.

Cicho! cicho! Staś śpi, niech go nikt nie budzi. Zmęczyło się niebożątko i usnęło na trawie, obok kotka Miłusia. A jaki piękny sen ma Staś; widzi takie piękne rzeczy: choinkę, ślicznie przystrojoną, z mnóstwem zapalonych świeczek, a pod nią tyle ładnych zabawek. Jest tam budownictwo i łamigłówka, żołnierze i trąbka, bat i lejce, zwierzęta i książki i papier i ołówki kolorowe... słowem, cały sklep zabawek. Ale to nie wszystko dla Stasia, tylko podzieli się tem z braciszkiem, a i dla dzieci stróża niejedno się znajdzie. Staś zawsze o innych pamięta, zawsze coś dla innych znajdzie, choćby pół jabłuszka, choć orzeszek, choć papieru arkusz i kawałek ołówka.

A kotek też śpi — i śni mu się, że łapie myszki, szare, rude, białe, a nawet wielkiego szczura, co tyle szkody w spiżarni robi.

Oby się obadwa sny sprawdziły: Staś miałby wielką uciechę, kotek niemniejszą, a najwięcej cieszyłaby się mamusia, raz dla tego, że ma tak dobrego synka, który nie jest brzydkim sobkiem, a potem, że kotek wyłowiłby wszystkie myszy i szczury.

N. Nagórna.

## Do roboty!

Wio koniku! dalej w pole!  
Już nie pora na swawole,  
Już słońeczko cieplej grzeje,  
Złote ziarno rolnik sieje,  
Już do pracy czas!

Dodatek do Nru 16 — 1901 r.

Długo, długo próżnowałeś,  
Wciąż u żłobu w stajni stałeś,  
Aż minęła zima długa,  
I skowronek nas do pługów  
Pieśnią wezwał swą.

Wszystko dzisiaj już przy pracy:  
Ludzie, pszczołki, nawet ptacy  
Gniazda ścielą kędyś w lesie,  
A ich pieśń radosną niesie  
Wietrzyk tu aż nam.

O! bo czują to ptaszęta,  
Że ta wiosna uśmiechnięta  
Mija prędko, jak sen złoty.  
A więc żwawo: do roboty!  
Nie marnujmy jej!

Irena Mrozowicka.

## Pogadanki z życia codziennego.

### Węgiel kamienny.

— Moja mamusiu, już kilka razy słyszałam, jak mama mówiła z ciocią o węglu i ciocia powiedziała, że tej ziemy węgle były bardzo drogie. Skąd to ten węgiel przywozi się do nas? — spytała Zosia.

— Do nas węgiel przychodzi przeważnie z kopalni, które znajdują się w guberni piotrkowskiej.

— Ach, jak jabym chciała być kiedy w takiej kopalni. Czy ten węgiel leży tam głęboko? Skąd on tam się wziął? Dlaczego to nie we wszystkich miejscowościach są kopalnie węgla?

— Oh, moja Zosiu, zadajesz naraz tyle pytań, a na wszystkie odrazu odpowiedzieć ci nie mogę. Jeżeli masz jednak ochotę dowiedzieć się cośkolwiek o węglu, to chętnie ci opowiem.

Otóż posłuchaj uważnie: Niegdyś, dawno już, bardzo dawno temu, przed tysiącami lat, ziemia porośła była wielkimi drzewami, które co prawda inaczej trochę wyglądały, niż nasze drzewa, podobne były raczej do wielkich paproci. Przyszły burze straszne, trzęsienia ziemi i drzewa te pozapadały się w ziemię. Leżały tam długo, długo i przez tak długie leżenie stwardniały i zamieniły się w wielkie pokłady czarnego węgla, który nazywamy kamiennym.

— A czy jest, mamusiu, jeszcze jaki inny węgiel?

— Jakto, nie wiesz, że jest jeszcze węgiel drzewny, ten, co używamy do samowara?



— Ach, prawda! Jakże ja jestem nieuważna.

— Otóż leżały sobie w ziemi lat tysiące te wielkie pokłady lasu skamieniałego, a nikt nie wiedział, jakie się to tam skarby kryją.

— Skarby, mamusiu? Przecież węgiel służy tylko do palenia, a palić można i drzewem.

— Węgiel przynosi nam wielki pożytek tem, że możemy nim palić w piecach, i w wielkich maszynach, ale nie tylko ten mamy z niego użytek. Otrzymujemy z niego także ów gaz, co oświetla nam ulice, otrzymujemy naftalinę, którą posypujemy rzeczy na lato do kufra schowane; benzynę, którą czyszcimy plamy przeróżne i pierzemy rękawiczki; kwas karbolowy, którym przemawają się rany, a nawet z węgla kamiennego otrzymujemy piękne farby zwane anilinowemi!

— Jakże się to robi moja mamusiu?

— Dziś nie zrozumiałabyś tego, ale gdy będziesz już starszą, to uczyć się będziesz nauk, co się nazywają przyrodnictwami, i wówczas dowiesz się nie tylko tego, ale wiele, wiele bardzo ciekawych i bardzo pięknych rzeczy.

— Widzisz więc, jak wielki pożytek przynosi nam ten czarny, niepozorny węgiel. Wydobywanie jednak węgla nie jest bynajmniej łatwe. Należy wybić na powierzchni ziemi otwór, który się nazywa *szybem*. Przez ten szyb ludzie, którzy nazywają się *górnikami*, spuszczaają się w głąb kopalni i tu narzędziami, które się nazywa *kilofem*, odłamują kawały węgla. Pracują prawie w ciemności przy małych tylko latarniach, które z sobą przynoszą. Ciężka to praca! Nie widzą światła dziennego; przy nędznym posiłku przyniesionym z domu, pozostają dzień cały w podziemiach, gdzie przecież tyle im grozi niebezpieczeństw.

— Jakież to niebezpieczeństwa, mamusiu?

— Zdarza się czasem, że wielka jakaś skała osunie się niespodzianie i przygniecie na śmierć tych, co stoją blisko; czasem podziemne źródło zaleje pracujących górników; czasem gaz wydobywający się z węgla, powoduje w zetknięciu się z ogniem pożar kopalni, i wtedy zdarza się, że setki ludzi ginie okropną śmiercią. Wprawdzie w kopalniach są inżynierowie górnicy, którzy pilnują, aby się te nieszczęścia nie trafiały i starają się im zapobiedz, ale niebezpieczeństwo nie zawsze da się przewidzieć i niejeden kawał węgla, który kładziemy do pieca jest okupiony nie tylko ciężką pracą, ale czasem i życiem górnika.

Z. K.

## Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

— A jednak nie były one mojemi. Moja siostra taka jeszcze młoda, a taką miała ogromną ochotę wracać do naszej wioski; bałem się, by mnie nie prosiła o użycie tych nie naszych pieniędzy na drogę. Nie chciałem jej robić przykrości odmawiając, a także bałem się samego siebie, żeby nie uleść pokusie. Może wtedy nie byłbym umiał wyrazić co myślałem, ale czułem, że lepiej nikomu o tem nie mówić i zachować tajemnicę.

— Nie wiem, jak pogodzić taką skrupulatną sumienność z oskarżeniem, które na tobie ciąży. Chciałbym ci wierzyć, ale mam wątpliwości. W tej chwili nawet siostra twoja zaczerwieniła się i zmięszała widocznie, gdy spytałem ją o ten złoty pieniądz.

— Niech pan mnie nie słucha, — zawołała żywo Basia — to tylko Piotrusiowi trzeba wierzyć, on jeszcze nigdy nie skłamał!

Posiedzenie sądu miało się ku końcowi. Obwiniony i świadkowie już są wybadani; na mocy zebranych faktów prokurator sądu ma wydać wyrok. Pierwej jednak streszcza jeszcze cały przebieg sprawy, rozpoczynając od przytoczenia okoliczności obwiniających Piotrusia.

— Ledwie z domu wyszedł, gdy spostrzeżono się, że znikł z biurka złoty pieniądz. Biegają za nim, chwytają go, rewidują pomimo rozpaczliwego oporu i znajdują przy nim pieniądz z tą samą datą, co ów zaginiony. Obwiniony stara się uniewinnić, wymyślając mało do prawdy podobną bajkę, jakoby tylko w skutek pomyłki wszedł w posiadanie tej złotej „monety”, że miał zamiar zwrócić ją właścicielce, a jednak siostra jego nic o tem nie wie, nic jej o tem wypadku nie wspominał nawet, przyznając się tylko do otrzymanych piętnastu groszy. Ona wyraziła właśnie życzenie posiadania dziesięciu rubli, a on jej odpowiedział: Będziemy je mieli. — Nazajutrz rano wzywają obwinionego do czyszczenia kominka zamożnego mieszkania. Przez chwilę znajduje się sam w pokoju, leżący na biurku złoty pieniądz rzuca mu się w oczy, sposobność jest zbyt dobra i łatwa; korzysta z niej. Można by posądzić zarówno dobrze i jego towarzysza o ten czyn karygodny, ale dowód jest tu, przy tym chłopcu; u niego znaleziono monetę; według prawa ten, przy którym znaleziono rzecz ukradzioną, podlega karze jako złodziej. Prokurator więc będzie niezawodnie zmuszonym skazać obwinionego na cały rok więzienia.

Basia, słuchająca dotąd z najwyższym napięciem, nie mogła teraz powstrzymać rozpaczliwego łkania, rozrywającego jej piersi. Piotruś stał bardzo blady, ale na pozór spokojny.

Przewodniczący, naradziwszy się jeszcze z sędziami, oznajmił, że sprawa odroczoneą będzie na tydzień, gdyż sąd odnaleźć musi i przesłuchać jeszcze owego drugiego kominiarza, imieniem Jakóbka i starą Walentową, u której oskarżony mieszkał ze swą siostrą. Może tamci poznają coś takiego, co rozjaśni niektóre niewyraźne, a nawet nieprawdopodobne wypadki.

Choć Basia doznawała uczucia wielkiej trwogi na myśl, że znów stanąć będzie musiała w tej wielkiej sali, takiej ponurej, takiej smutnej, przed tylu ludźmi, obojętnie na jej boleść patrzącymi — mimo to czekała następnego poniedziałku z ogromną niecierpliwością. Miał to być dzień stanowczy. Albo ogłoszą niewinność Piotrusia i wypuszczą go na wolność, albo napiętnowanego mianem złodzieja, zamkną na cały rok do więzienia. Ach Boże! niewinny i taki zbiedzony miałby przebyć w więzieniu całą wiosnę, całe lato i jesień następną. O nie! to nie może być! Bóg dobry na to nie pozwoli! ona dobrze teraz wie, kto jest winien! Ale jakże oskarżyć towarzysza, kolegę, chłopca z tej samej co ona wioski, którego pocztowych rodziców znała i szanowała! Toż oni umarliby ze



zmarłwieniał! Nie, gdyby się o tem dowiedzieli. Nie, nawet za cenę uniewinnienia Piotrusia ona tego nie zrobi!

Tymczasem policja odnalazła Jakóbka i przed sąd go przyprowadziła. Służąca poznała w nim tego samego kominiarza, który był u nich razem z małym złodziejem. Pytany o wiek, imię, miejsce zamieszkania Jakóbek odpowiadał z wielkim spokojem i pewnością siebie; gdy jednak trzeba było zwrócić się w stronę, w której stał Piotruś, spuścił oczy, nie śmiejąc na niego spojrzeć.

— Więc jak mówisz, nie spostrzegłeś nawet tej złotej monety w mieszkaniu, w którym czyściliście kominę? — pytał go dalej przewodniczący.

— Nie widziałem — odpowiedział Jakóbek.

— Czyś zostawał sam jeden w tym pokoju?

— Nie, albo towarzysz mój, albo służąca, ktoś ciągle był ze mną.

— Służąca zeznawała, że to wchodziła, to wychodziła z pokoju, a co do twego towarzysza, nie mógł być równocześnie w kominie który czyścił i z tobą w pokoju.

— Powtarzam, nie byłem sam w pokoju ani chwili.

— Dlaczego po wyjściu na ulicę porzuciłeś kolegę tak szybko?

— Bo miałem polecenie do spełnienia.

— Czyś mu o tem mówił?

— Nie pamiętam.

— Czyś miał pieniądze przy sobie i ile?

— Piętnaście czy dwadzieścia groszy o ile mogę sobie przypomnieć.

— Chyba miałeś więcej pieniędzy, gdyż tego samego dnia kupiłeś sobie całe ubranie.

— Nie kupiłem, zamieniłem na to, które miałem.

— Nie zamieniają w sklepie starego ubrania na nowe. Musiałeś przynajmniej coś dopłacić?

— O niewiele, jakąś bagatelkę!

— Dlaczego ci zależało koniecznie na zmianie ubrania?

— Nie zależało mi wcale na tem.

— Coś potem cały dzień robił?

— Biegałem po mieście szukając zarobku.

— A wieczorem?

— Wieczorem? Doprawdy nie pamiętam już. Pewnie poszedłem spać wcześniej.

— O nie, widzieli cię w teatrze.

— W teatrze?... a może być, że...

— A przytem jadłeś obiad w handlu win, widzieli cię tam także.

— A tak, prawda, zaprosili mnie koledzy...

— I w tym handlu zmieniono właśnie złotą dziesięciorubłową, żeby ten obiad zapłacić.

— Przecie to nie ja zmieniałem. Ktoś mnie twierdzić, że to ja?

— Ty, czy twój towarzysz to już prawie wszystko jedno. Fakt faktem, że wtedy właśnie zmieniony został nowiutki pieniądz złoty dziesięciorublowy.

— Ach! — wykrzyknęła Basia, słuchająca dotąd w milczeniu i policzki jej zapalały — Przewodniczący nakazuje milczenie. — Jakóbek wygląda zmieszany, niespokojny.

— Gdzieś spędził noc z drugiego na trzeciego stycznia? — ciągnął dalej przewodniczący.

— Na moim posłaniu, w mieszkaniu Walentowej.

— Lecz Walentowa wezwana jako świadek, zeznała, że to nieprawda, że Jakóbek nietylko tej nocy u niej nie spędził, ale od dwóch miesięcy nie pokazał jej się na oczy. Przypuszczała, że już może nawet nie żyje, ale powiedzieli jej współnicy, znajomi ludzie, że Jakóbek teraz zhardział, że jest niby bogaty i udaje, że ich nie zna, a gdy się spotkają, odwraca się od nich niechętnie; już teraz nie chce nazywać się Jakóbką, tylko panem Antonim. Już to on zawsze — dodała kobiecina — był próżniak, pracować mu się nie chciało, a szukał tylko jakby się tanim kosztem zabawić. Udawał porządnego chłopca i nosa zadzierał, a naprawdę to było ladaco. To też przyznaję panu sędziemu, że byłem prawdziwie zdziwiona, gdy się dowiedziałam, że ten jest uwięziony, (tu wskazała na Piotrusia), a tamten wolny po świecie się rozbija. Gdyby się kto mnie był zapytał, który z nich pierwszy pójdzie na marne, nie byłabym dobrze odgadła. Jak to łatwo się pomylić na ludziach, nawet, choć się jest taką jak ja starą.

— A zatem mieliście Piotrusia za uczciwego chłopca?

— A jakże, i nietylko ja jedna. — On i jego siostra mieli jak najlepszą opinię w całej kamienicy, ba, nawet na całej ulicy; nie nazywano ich inaczej, jak z przeproszeniem wielbego sądu, te dwa pośmięciuszki, niby to ptaszki, wróble, co biedne z ulicy tylko żyją, ale je każdy lubi i rad wspomóc. Ej, źle się to stało, że brata niema, bo z dziewczyną teraz Bóg wie co będzie; młode to, ni-jakiego nie mając pokierowania, zmarnieć może. Wałęsa się to już po mieście, późno wraca, późno wieczorem wychodzi na miasto...

Piotruś zerwał się z ławki jak oparzony.

— To nieprawda, Basiu, powiedz, że to nieprawda! — zawołał.

— Proszę nie przerywać mówiącej — rzekł surowo sędzia.

Basia załamała ręce w niemej rozpacz.

— A wy kończcie wasze zeznanie — zwrócił się do Walentowej.

— Nie mam już nic więcej do powiedzenia — odpowiedziała Walentowa.

— Czy to prawda, żeś wychodziła z mieszkania po nocy? — zwrócił się przewodniczący ku Basi.

— Tak, raz jeden tylko.

Piotruś westchnął ciężko i twarz rękami zasłonił.

— Dokąd się wtedy udałaś?...

— Dokąd szłam... Szłam po wiadomości o Piotrusiu.

— Kto miał ci ich udzielić?

— Nie wiem, to jest wiem, ale nie śmiem powiedzieć... nie mogę! — wyjąknęła Basia, coraz bardziej zmieszana na widok wielkiej przykrości, którą jej słowa robiły Piotrusiowi. Poczem nagle zwróciła się ku Jakóbkowi, i składając ręce jak do modlitwy... — Powiedz! powiedz! ty wiesz wszystko lepiej ode mnie! — zawołała błagalnie.

— Czy możesz nam to wytłumaczyć? — spytał teraz sędzia Jakóbką.

Jakóbek jakiś czas milczał, widocznem było, że waha się, że jakąś wewnętrzną walkę z samym sobą stacza, w końcu jakby mimowolnie wybuchnął:



— Na co tyle ceregieli, tyle omawiań, żeby poprostu mnie wymienić, żeby na mnie rzucić podejrzenie! — I tak gdyby nie wy, nie byłoby mnie tu w tej sali. A więc tak, prawda, ja to miałem przynieść jej o bracie wiadomości, choć to czyniłem z dobrego serca, naraziłem się tylko, na niepotrzebne teraz tłumaczenie.

(d. n.)

## SZARADA.

Ul. Charlemagne dla Zbyszka.

*Pierwsze i drugie, to miano świątyni,  
Najpierwszej w mieście — więc znane nazwanie,  
Trzecie wspaniałe z drugim w lesie czy pustyni  
Wielu zwierzętom służy za mieszkanie.  
Drugie i pierwsze okręty roztrąca  
Gdy na nią wpadną wśród nocnej ciemności.  
Wszystko zaś nazwa monarchom służąca  
W kraju, co znany był w starożytności.*

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

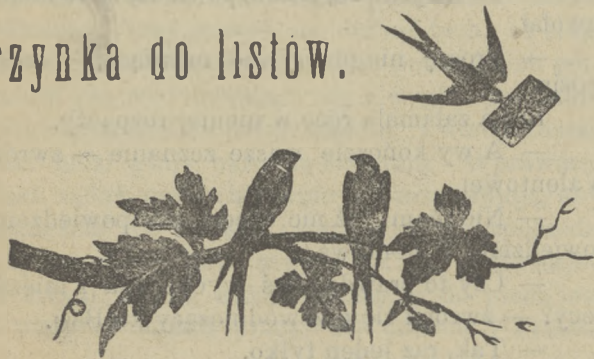
Zagadki: S a n.

### Łamigłówki kropkowanej:

Czego chcesz od nas Panie! za Twe hojne dary?  
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?  
Kościół Cię nie ogarnie; wszędy pełno Ciebie,  
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.

Jan Kochanowski.

## Skrzynka do listów.



Zwracamy uwagę naszych czytelników na zadanie do nagrody, pomieszczone w dzisiejszym numerze i oznajmujemy, że konkurs na wypracowania i roboty ręczne ogłoszone będą w czerwcu przed wakacjami.

Zosia, Miecio i Wandzia z Niedziałki złożyły 1 r. 50 kop. dla Kolonii Letnich i 1 r. 50 kop. jako składki roczne dla Towarzystwa rozdawnictwa odzieży.

Zadania własnego układu i trafne rozwiązania nadesłali: Charlemagne, Miecia z Siennej, Wiatraczek, Zbyszko, T. Bemska, Polska Dzieweczka, Wróżka Leśna, Żabka z Pawłoczy, Wanda Liedt., Tadeusz.

Płaczącej Brzózce z Kn. Podręcznik hist., o który zapytujesz, kosztuje 1 rub. bez oprawy i przesyłki. O powiastkach napiszemy później.

Przedewszystkiem dziękuję moim korespondentom i korespondentkom za życzenia świąt Wielkanocnych, a nadto: Inżynierowi, Miechowicie, Gosposi z Łubienka, Wróżce Leśnej, Polskiej Dzieweczce, Gwieździe z Puszczy, Orłowi Białowieskiemu, Śnieżycy, Irence i Zosi Mańkow., Halszcze i Marysińce Łubień. za śliczne karty pocztowe, na których zostały skreślone. Powiększając one i upiększając mój zbiór.

Mam nadzieję, że Niezapominajka z nad Wołgi po tym pierwszym liście częściej już będzie pisywała, zwłaszcza gdy pomyśli o złożeniu egzaminu, czego ci serdecznie życzę. „Dzienniczek Wańdzy” rozpocznie się za dwa, lub trzy tygodnie.

Wyobrażam sobie Niniu i Heniu D., jak was mniało zabawić, że malutką Wańdźkę wzięłam za najstarszą z was. Widzę z listów waszych, że umiecie oceniać zarówno piękność otaczającej natury, jak i utworów wyobraźni ludzkiej, co mi się bardzo w was podoba. W chwili, gdy to piszę w Warszawie przechodzi burza z grzmotami i piorunami, pewnie więc po niej nastąpi pogoda i ciepło. Proszę powiedzieć pani L., że „Egle” wkrótce drukowane będzie.

Listy twoje, Tadeuszu, są mi przyjemne, chociaż zbyt krótkie, bardzo dobrze że stajesz do konkursu kaligrafii.

Pseudonym twój, Brzózko płacząca, podoba mi się, ale wątpię, czy odpowiada twemu usposobieniu, bo coś mi nie wygląda na smętną i płaczącą. Pewnie wasza czwórka, zebrana razem na Wielkanoc, wesoło spędziła święta. Napisz mi, czy w tym roku lukrowałaś już sama baby. Nie wiem, czy Gałązka Konwalii mieszka w twojej okolicy.

Dziwie z nad Jasiołki za pierwszą odezwę i przyjazne słowa dziękuję, zechciej mnie częściej „nudzić swymi listami.”

Twój braciszek, Zosiu z Niedziałki, który nie umie jeszcze pisać piórem, może przysłać próbę swego pisma ołówkiem. Premium zeszłoroczne Redakcja wyśle, skoro nadeślesz swój adres i markę 10 kop. Pozdrawiam całą waszą gromadkę.

Pismo twoje, Szarotko Górską, bardzo wyrobione. Nic ci o „wielkiej bohaterce” ani o sobie donieść nie mogę, dla was jestem Jaskółką, więc moje imię od J się zaczyna. Po „Dziadziectwie Karola W.” drukować będziemy „Hrabinę” Teresy Jadwigi.

To ty Wróżko Leśna, jako wróżka, powinnaś się postarać, aby wiosną już do nas na stałe zawitała; ale może ona w tym roku, tak jak ty, lubi odkładać na jutro, co może zrobić dzisiaj. Z twego listu i z dzisiejszego ciepła sędzę, żeście się z tej wady obie poprawiły. Polską Dzieweczkę pozdrawiam serdecznie.

Jedynaczka prosi mnie o zapytanie Lińci S. z Lublina, czy pragnie się z nią zobaczyć, czy z zajęciem czytuje „Wieczory” i czy domyśla się, kto jest sir Warburton? Powieść, o którą zapytuje Jedynaczka jest ściśle historyczną i o większości działających osób wspominają kroniki ówczesne.

Powinnaś koniecznie stanąć do konkursu kaligrafii Halko z nad Teterowa i przepisać list Sienkiewicza, tylko spiesz się, bo termin już bliski, trzeba wrzucić list na pocztę 20 kwietnia. Spodziewam się, że będziesz odtąd często do mnie pisywała; mam kilka korespondentek z twoich stron.

Winszuję Danusi udanego teatru amatorskiego, a jaką też grałyście komedijkę? Proszę Lilę Wenedę i Lilę Rożę o wiadomość, czy baby się udały? Stefanowi, Mary Ludk., Przadce złotych Nici i Leśnej Poziomce za ich miłe odezwy i wieści o sobie serdecznie dziękuję.

Wasza Juskółka.

## WYMIANA ILUSTR. KART POCZTOWYCH.

Henryk Rotmil (Warszawa. Solna Nr. 21 m. 8) prosi o nadsyłanie ilustr. kart pocztowych, które też wzajemian przesyłać będzie.

Uwaga Redakcyi. Dla dogodności czytelników „Wieczorów,” zbierających piękne karty pocztowe, pomieszczamy bezpłatnie ogłoszenia prenumeratorów naszych o wzajemnej wymianie takich kart, za listownem zezwoleniem ich rodziców lub opiekunów.